

Dziś rano obudziłam się skonsternowana nie wiedząc gdzie jestem.

A byłam w swoim łóżku na warszawskim Grochowie.

Leżałam tak i czułam, jak zalewa mnie fala żalu, smutku i tęsknoty: *ja chcę do domu!*

*W domu Mężczyzna już przyniósłby mi do łóżka świeżo wyciśnięty sok z selera.* Czułam, jak cała się spinam. Na ekranie umysłu wyświetlały mi się zdjęcia psa taplającego się w bagnie, obraz kwitnącego ogrodu przed *Pałacem*, kolaż porannych impresji z mojego raję. Niezwłocznie uruchomiłam w sobie tryb wsteczny – jakby tu odwołać wszystko po kolei i od razu, jak najszybciej wrócić do domu i zakokonić się tam na wieki? Lunch, kawa, wernisaż, urodziny – wymazać wszystko, wykasować, odmówić, jakoś się wytłumaczyć...

Oto mój wewnętrzny autosabotażysta wytoczył swój najcięższy sprzęt.

Po długiej przerwie odezwał się już w ubiegłym tygodniu, przed Półkowniczkami, i to dzięki temu dziś rano udało mi się pamiętać o tym, że

*you don't have to believe everything you think.*

*You've been programmed. Wake up!*

Spokojnie, Koniczek – pomyślałam – *nawet jeszcze nie wypiałś kawy, więc z czym do ludzi? Nie jesteś sobą. Wstąp w siebie i wtedy poczujesz.*

Wstałam.

Na desce do prasowania leżały zwiewne spodnie od Calvina Kleina. Lubię je, a ich miejsce jest w tym mieszkaniu. Podobnie jak miejsce jedwabnych koszul i awangardowych torebek. Niektóre przedmioty mieszkają tutaj i przynależą do tej przestrzeni. Do przestrzeni miejskiej i do *Miejskiej Mnie*. Aha. *Miejska Ja*. Dawno z Nią nie byłam. W szafie znalazłam sweterek od Kenzo, o którym dawno zapomniałam. Jaki ładny. Mam go chyba od 20 lat. Uczesałam się. Wskoczyłam w czarne, zamszowe balerinki z dużymi kokardami i wyszłam na zewnątrz.

Przed domem promienie słońca zalały sąsiednie podwórze, skąd dobiegało dobrze znane

mi skrzypienie śmieciarki. Mój dawny budzik...

Pisk wróbli, szum ulicy Grochowskiej, szcęk hamującego tramwaju i wesołe odgłosy dziecięcych zabaw w przedszkolnym ogródku wydobywały się spod długich cieni akacji przy spustoszonej ulicy Pustelnickiej. Znam to wszystko doskonale. Znam i lubię. To był mój dom przez prawie 8 lat. To też jestem ja.

Siadając do śniadania na szmaragdowej kanapie, która pamięta czasy mojej emigracji do Niemiec, pomyślałam, że mam przed sobą cudowny dzień pełen fascynujących spotkań i że wystarczy nie opuszczać siebie.

Wszędzie zabierać siebie, towarzyszyć sobie, być przy sobie.

Wtedy wszędzie jest dom.









Sok z selera będzie można mi przynieść już pojutrze, albowiem jutro jeszcze czeka mnie cudowne spotkanie w pociągu!

Tam też można umówić się na kawę.

Aha. Jestem w Warszawie z okazji otwarcia wystawy prac Moniki Sosnowskiej w Zachęcie. Było tak:







